

ZAPOZNIONY LETNIK

Gdy tylko dom nasz opuszczali letnicy, wykorzystywałem ogólne zamieszanie i podbierałem dyskretnie klucze od letnich numerów. Nim wakacyjni goście dotarli do stacyjki dorożkami, ja już polowałem na skarby wszelakie. Wiedziałem, że w pokojach letników właściwie nic ciekawego nie znajdę, bo i cóż takiego mogli zostawić, ale targała mną chęć nieodparta, żeby buszować po tych miejscach przez cały sezon dla mnie zakazanych, które mogłem tylko ukradkiem obserwować. A może chciałem uchwycić jeszcze ciepłe ich ślady, ich westchnienia z nocy letnich i miłosnych, cienie czy tęsknoty, albo złapać na gorącym uczynku kawałek ich wielkiego świata? W każdym razie to było jednak silniejsze ode mnie. A może bałem się pustki, jaka nastąpiła po letnikach tak nagle?

W pokojach trafiałem na stare gazety, gdzieniegdzie były pisma literackie i kolorowe tygodniki. Raz nawet trafiła mi się wędka bambusowa, którą jakiś letnik kupił dla kaprysu, a potem uznał, że nie będzie jej wiozł do dużego miasta. Czasem ktoś książkę zostawił — lekką, wakacyjną. Kupił ją, gdy było deszczowo i za trzy dni przeczytał, aby nie myśleć o slocie i błocie. Był to przeważnie kryminal, do którego nie przywiązywał większej wagi, więc zostawił go na letnisku, już dogasającym, żeby nie obciążać bagażu i głowy. Czasem w numerach gościnnych były też buteleczki kolorowe z resztkami wód kolońskich, czy olejku do opalania, tubki z kremami, prezerwatywy, pocztówki zaadresowane, a nigdzie nie wysłane, słomkowe kapelusze, laski leszczynowe i huby z chorych drzew. Nie zabrakło też butelek po dziwnych alkoholach.

U lamp, lekko kołysząc się, wisiały złotawe, błyszczące lupy na muchy aż gęste od swych ofiar. Te ostatnio złapane jeszcze lekko bzykały, nuciły okrutną i beznadziejną pieśń na odchodne lata i na śmierć swoją powolną. Tak rozpoczął się koniec sezonu. Pokoje gościnne były przytulne i nagrzone słońcem, że marzyło mi się, aby przenieść się do jednego z nich i pomieszkać sobie jak prawdziwy letnik.

Pod "siódmką", gdzie mieszkała piękna Anna, było młodo i radośnie nawet po jej wyjeździe. Na poduszce pozostała odgnieciona jej głowa, a na stole podskakiwały dziwne kamienie. Miały białe brody, bo były stare, albo przecinały je błyszczące żyłki, dzieląc te dziwne kości Ziemi jakby na dwa światy. Zbierała je w rzece właśnie Anna. Układała na stole i opisywała. Tyle serca i pasji w to wkładała, że kamienie te czuły się szczęśliwe. Może nawet nie zwróciły uwagi, iż ona wyjechała. Nie mieściły się w walizce, więc je zostawiła. W pokoju urosło po niej kamienne milczenie. Lecz nie całkiem. Pod jedną z kości Ziemi, która przypominała głowę krasnala, albo czarownika, była kartka. Odczytałem ją skwapliwie: "Jeżeli jesteś przyjacielem kamieni, zaopiekuj się nimi. Są takie samotne." Na końcu tego krótkiego listu był podpis Anny. Czułem się adresatem tego przesłania, choć nie było to wprost napisane, bo Anna pokazując mi wcześniej swoje kamienie, już wtedy uśmiechała się tajemniczo. Tak więc odziedziczyłem po niej kamienną kolekcję. I nawet cieszyłem się, bo w ten sposób została mi część Anny.

Pod "szóstką" było kilka numerów "Filmu". Podziwiałem więc piękne aktorki, ale żadna nie była podobna do Anny, dlatego większą uwagę obdarzyłem dziewięciłą, który wisiał na

ścianie. Ktoś go zerwał, mimo że jest to roślina chroniona. Przyjrzałem mu się z bliska i zrozumiałem dlaczego został wycięty. Miał bowiem w środku lśniącobiałego koszyczka kwiatowego dwie wskazówki, małą i dużą. Gdy przyłożyłem ucho tykał jak zegar ścienny, tylko trochę delikatniej. Mimo woli spojrzałem na zegarek. U mnie i na nim była ta sama godzina — za kwadrans siódma, czyli dziewiętnasta.

"Piątka" była chlubą naszego pensjonaciku. Miała piękny, rzeźbiony balkon i dużo słońca. Najczęściej wynajmowali ją zakochani. Widziałem serca na ścianach, z kamyków, papieru, kory, a nawet z cegły, były jak żywe. Pulsowały wyraźnie przetaczając przez siebie zakochane powietrze.

Nagle dobiegł mnie jakiś szelest. Zdziwiłem się, bo dom był całkowicie pusty, a brama od wewnątrz zamknięta. Wybiegłem na korytarz. To spod "dwójki" dobiegało to szeleszczenie. Ominąłem więc "czwórkę" i "trójkę" i już otwierałem kluczem drzwi pokoju oznaczonego numerem dwa. Pod "dwójką" zawsze było najsmutniej. Nie udał się ten pokój dziadkowi Buczyńskiemu, ale co zrobić, skoro "dwójka" znajdowała się od strony północnej i była najbardziej ciemnym pokojem. Często, nawet w środku sezonu, ten numer gościnny stał pusty, bo mało kto decydował się tutaj zamieszkać, przez tę jego mroczność i brak przytulności. A jeszcze — jako jedyny w naszym pensjonaciku — nie posiadał balkonu. Już trudno mi sobie przypomnieć, czy był wynajmowany taniej, ale chyba jakieś ulgi tu stosowano.

Gdy otworzyłem drzwi, w lekkim półmroku ujrzałem letnika Benedykta, który stawał pasjansa. Wcześniej tasował karty i to widocznie musiało szeleścić. Od początku, a było to w połowie lipca, gdy tylko pojawił się w naszym pensjonacie pan Benedykt, wydał się jakiś dziwny. Nie korzystał z posiłków pensjonatowych, tylko całymi godzinami grał na skrzypcach i nawet w największe upały nosił watę w uszach. Przy tym wszystkim jego czarny garnitur sprawiał smutne wrażenie, a chodził w nim dzień w dzień. Za pobyt w naszym domu zapłacił zaraz po przyjeździe. Wcale mu nie przeszkadzało, że pokój był bez balkonu. Trudno było z nim nawiązać rozmowę, bo należał do ludzi, którzy obchodzą się bez mówienia, ale teraz, gdy mnie zobaczył, zerwał się na równe nogi.

— Dziwi się pan, że mnie tu zastał? Prawda?

— Ale co się stało?

— Udało mi się skorzystać z zamieszania wyjazdowego. Zmyliłem czujność wszystkich i tutaj jestem. Pan mnie nie wyda. Błagam pana... Ja jestem Benedykt, pan wie...

— O co więc w tym wszystkim chodzi?

— Nie mam gdzie i po co wracać. Moja żona, jak mi powiedziała, znalazła sobie tutaj na wczesnych mężczyznę swojego życia...

— To pan jest żonaty? A przecież sam pan u nas mieszkał.

— Żona wykupiła sobie wczasy w pensjonacie "Milusia". O mnie nie pomyślała, zresztą zawsze o mnie zapominała, lecz ja pomyślałem. Chciałem jej zrobić niespodziankę i przyjechałem, żeby ją odwiedzić... Okazało się, że było już za późno. To ona mi zrobiła niespodziankę. Chciałem jej jeszcze coś wytłumaczyć, przekonać i dlatego zatrzymałem się w pensjonacie "Józefa", czyli u pana, ale to i tak nic nie dało. W "Milusi" nie chciałem mieszkać, zresztą tam nie było miejsca. Miałem świadomość, że jestem u niej stracony, bo na dodatek od pewnego czasu jestem bez pracy. Dlatego wynajmąłem ten mało atrakcyjny pokój, bo na inny mnie nie stać, zresztą ten mi się bardzo spodobał. Aby się tu wybrać, musiałem sprzedać obrączkę ślubną. Nie mam już nikogo.

— Na jednej kobiecie świat nie stoi! Niech pan się nie martwi.

— Proszę mnie nie pocieszać! Ojca nie pamiętam, a matkę jak przez mgłę. Nikt mnie nie kocha i nie potrzebuje.

—A dzieci?

—Nigdy nie miałem.

—A co pan zamierza?

—Jeśli pan mi pozwoli, zatrzymam się jeszcze w tym pokoju, tylko tak, żeby nikt o tym nie wiedział.

—Panie Benku, ja nikomu nie powiem, jeśli tego pan sobie życzy, ale przecież musi pan coś jeść, pić, chodzić za własną potrzebą, myć się i w ogóle...

—Proszę się nie martwić. Zapasy żywności mam wystarczające. Kiedyś byłem harcerzem, więc wystarczy mi suchy prowiant, a woda jest na piętrze w łazience. Z niej i z toalety korzystać będę tylko w nocy.

—Ale przyjdzie zima, a tutaj nie ma pieca, bo to są pokoje tylko na lato.

—O to proszę się nie martwić. Do tego czasu prawdopodobnie będę już daleko. Proszę tylko, niech pan pozwoli mi tutaj być.

—Nic nie rozumiem...

—Panu to powiem! Muszę się jakoś choćby wytłumaczyć, bo pan jest tak dobry. Otóż przeprowadzam na sobie eksperyment jakiego świat nie widział. Niech pan spojrzy na tę butelkę. W niej zawarta jest cała tajemnica. Prawda, że dziwna butelka? Dostałem ją od pewnego handlarza starzyzną. Dałem mu kiedyś maszynę do szycia, bo żał mi się go zrobiło, że nigdy mu nic nie dałem. Mnie ta maszyna nie była potrzebna, gdyż nikt od dawna na niej nie szył. A on mi się zrewanżował tą butelką. Ma ona długą historię. Wędrowała z pokolenia na pokolenie, ale nikt nie zaryzykował. Dopiero ja... Podobno przywieziona została z Chin. Dzisiaj zażyłem pierwszą dawkę. Trochę bez przekonania, bo myślałem, że handlarz starzyzną, to trochę kolorysta, ale on chyba mówił prawdę. Niech pan dotknie mojej lewej ręki.

—Zimna jak lód!

—A prawa?

—Ciepła i normalna.

—Widzi pan! Działa. To o to chodzi.

—Proszę jednak powiedzieć coś więcej.

—Nie mogę! Naprawdę nie mogę!

Zrobiło się późno. W pokoju pomroczało już całkiem.

—Ale się u pana zasiedzialem — powiedziałem wstając z krzesła.

—Proszę mnie nie rozśmieszać, przecież to ja u pana się zasiedzialem. Mimo, że pokój, w którym mieszkam jest od strony północnej i mało tu przytulnie, polubiłem pański pensjonat. Jest to chyba jedyne miejsce na ziemi, gdzie czuję się spokojnie. To uczucie, ten obraz, chcę wziąć ze sobą.

—Ależ panie Benku! Nie zamierza pan chyba...

—Proszę się nie obawiać. Nie sprawię żadnego kłopotu.

—Niech pan tak nie mówi! O pana się martwię, a nie chodzi mi o żaden kłopot, choć prawdę powiedziałem...

—Jeszcze raz zapewniani, że nie będzie miał pan przeze mnie żadnych nieprzyjemności.

—Może jednak warto przemyśleć to wszystko jeszcze raz?

—Miałem sporo czasu na myślenie — proszę mi wierzyć. I to jest moja ostateczna decyzja. Zresztą teraz i tak nie mam już odwrotu, skoro zażyłem pierwszą dawkę. O! Właśnie, którą to mamy godzinę? — spojrzął na zegarek podchodząc do okna. — Mam jeszcze parę minut czasu do zażycia tej mikstury.

Po chwili sięgnął po łyżeczkę i znów wrócił w stronę okna, bo tam było jaśniej. Nalał czarnej mazi podobnej trochę do miodu spadziowego, ale jednak bardziej wodnistej. Po zażyciu wstrząsnął nim dreszcz. Na moment był jakby nieobecny, ale zaraz przyszedł do siebie.

— To bardzo przyjemne uczucie, choć lekarstwo nie wygląda ani sympatycznie, ani zachęcająco. Wreszcie jestem chyba szczęśliwy. Z czasem, jak lek znacznie mocniej działać, wzrok mój podobno tak się wyostrzy, że nawet w nocy będę wszystko widział, tak jak w dzień. Dlatego już wkrótce nie będzie mi potrzebne światło elektryczne. A do tego czasu, żeby nie wzbudzać podejrzeń, będę tu mieszkał po ciemku.

Nazwał tę miksturę lekarstwem. Nic z tego nie rozumiałem. Korciło mnie, żeby go pytać i pytać. On jakby wyczuwając moje myśli odezwał się wcześniej.

— Czuję się trochę zmęczony, chyba się położę. Nie będzie to panu przeszkadzać? Zrozumiałem, że chce być sam.

— To ja już sobie pójdę.

— Jak pan uważa, przecież to pański dom. Może więc pan czynić co zechce.

— A czy nie będzie pan czegoś potrzebował? — zapytałem.

— Nie chcę panu sprawiać kłopotu, ale mam jedną prośbę. Czy nie mógłby pan mówić do mnie po imieniu. Będzie mi lżej.

— Nie śmiałem proponować. Pan jest letnikiem z dużego miasta, a poza tym starszym ode mnie, a my tu skromni ludzie...

— Proszę nie ironizować.

— Bardzo chętnie będę zwracać się do pana po imieniu, jeśli i pan tak będzie do mnie mówił.

— Zgoda.

Wyciągnął rękę.

— Benek jestem.

— Adam — i ja się przedstawiłem.

Jego dłoń, mimo, że prawa, też była już lodowata i sucha jak kartka papieru pergaminowego. Lekarstwo — jak on to nazwał — działało.

— Pytałem, czy ci czegoś nie potrzeba?

— Za wszystko dziękuję... Chyba, że masz może coś do czytania. Biblię mam, ale czasem chciałbym sobie przypomnieć "Boską komedię" Dantego. Marzy mi się też "Mistrz i Małgorzata" Bułhakowa.

— Spróbuję ci coś znaleźć, a teraz już żegnam — i wyszedłem nie oglądając się za siebie.

Długo nie mogłem zasnąć. Wsłuchiwałem się w melodię domu opuszczonego przez letników, w którym tylko jeden dziwny Benedykt się ostał. Przez moment wydawało mi się, że ktoś gra na skrzypcach, ale może to tylko wiatr grał na nieszczelnych oknach i drzwiach. Zastanawiałem się, jak pomóc nieszczęsnemu Benkowi. Czy kogoś zawiadomić, może sprowadzić lekarza? W końcu postanowiłem parę dni poczekać. Właściwie to nawet nie miałem innego wyjścia, bo z rana wyjeżdżałem do dużego miasta. Miałem tam sporo do załatwienia i rozliczeń posezonalnych nie cierpiących zwłoki.

Dopiero trzeciego dnia wybrałem się do Benka pod "dwójkę". Wziąłem trochę owoców z ogrodu. Miałem też "Mistrza i Małgorzatę" pod pachą. Przez moment idąc na piętro po schodach pomyślałem, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Ten sezon był jednak męczący. Przecież pod "dwójką" nie ma nikogo. To sen o Benku przyśnił mi się tylko. Jednak otwierałem drzwi, żeby to sprawdzić. Ale nie! Benek jak żywy, choć jakiś odmieniony, siedział przy stole i stawiał pasjansa. Podniósł na mnie z trudem bardzo zdziwione oczy.

— Wyobraź sobie, że nie wychodzi — pokazał na karty. — Dobrze, że jesteś — podał mi zimną rękę i zaraz rzucił się jakoś krwiożerczo na jabłka i śliwki, które mu przyniosłem.

Uśmiechnął się przepraszająco.

—Widzisz Adam, lekarstwo działa.

—Raczej szkodzi, przecież ty się zmieniasz, niksiesz w oczach. Ja cię nie poznaję...

—I właśnie o to chodzi. Nic nie rozumiesz!

—To wytłumacz mi, może ci ulży.

—Idź stąd! Jestem podenerwowany. Wierz mi tylko, że jestem szczęśliwy. Dziękuję za wszystko, ale teraz zostaw mnie w spokoju. I jeszcze jedno. Nie wolno ci do mnie przychodzić przez najbliższy miesiąc. Błagam cię o to. To dla twojego dobra. Nadchodzi dla mnie bowiem najbardziej trudny okres, a więc nie wiem już, czy mogę ręczyć za siebie. Proszę cię, musisz mi obiecać, że nie przyjdiesz.

Sporo go kosztowało sił i nerwów to co powiedział.

—Obiecuję — rzekłem, bo widziałem jak się męczy i nie chciałem tego przedłużyć.

—Dziękuję ci. Zawsze wiedziałem, że z niektórymi, nawet obcymi ludźmi można się dogadać. No, ale idź już — i wypchnął mnie prawie, poklepując po ramieniu długim paznokciem.

W pierwszej chwili oburzyłem się nawet. Jak to możliwe, żeby w moim domu działały się takie sceny. Jednak się szybko zreflektowałem. Aby lepiej się poczuć poszedłem pod "siódemkę", gdzie były kamienie Anny. Rozmowa z nimi przyniosła mi spokój i duchową ulgę. Jeden z kamieni mówił nawet jakby głosem Anny. Bałem się tylko czy wytrzymam, aby przez miesiąc nie zajrzeć do Benka. Jak sobie będzie radzić przez ten miesiąc. Wprawdzie nie pozwalał mi się odwiedzić, ale nie było mowy o tym, żeby nie przynosić mu coś do jedzenia. Co drugi dzień rano kładłem więc na progu jego pokoju śliwki, jabłka i gruszki, a czasem także rybę wędzoną, chleb, czy kawałek kielbasy. Wybierałem taką porę, żeby się z nim nie spotkać. Gdy przychodziłem na drugi dzień, przed jego pokojem stał pusty talerz. Więc jednak nie odmawiał mej pomocy.

Którejś nocy obudziło mnie wycie. Trudno powiedzieć, kto to wył lub co to wyło. Uspokajałem się, że to tylko wiatr gra na nieszczelnych oknach, lub dmie w piszczałki pustych balkonów, które w czasie wichury stawały się organami, zaś organistą był właśnie wiatr. Mimo wszystko zasnąć już nie mogłem. W końcu zebrałem się i poszedłem na górę.

Drzwi od "dwójki" były zamknięte. Wślizgnąłem się więc pod "piątkę" do pokoju, który najczęściej wynajmowali zakochani. Na ścianach wisały serca. Zbliżały się do siebie. Widziałem też, jak w poświacie księżyca to kurczą się, to powiększają. Zamiast krwi przepływał przez nie czas, namacalnie prosty, taki jaki może być tylko po sezonie. Słyszałem też stukot tych serc lekko przyspieszony, a może to tylko moje serce tak głośno biło?

Pokój ten wybrałem nieprzypadkowo, gdyż patrząc z niego przez dziurkę od klucza, miałem widok — mroczny wprawdzie, ale zawsze widok — na cały korytarz naszego pensjonatu. Przez dziurkę od klucza zagląda się czasem do czyjegoś pokoju, a ja wyglądałem przez dziurkę od klucza. No i jak ja wyglądałem? Przecież to nigdy nie było w moim stylu — zaglądać przez dziurę od klucza, a już szczególnie — wyglądać przez nią. Brzydziłem się siebie, ale jednak patrzyłem.

Nagle jedno z serc odpadło od ściany. Złapałem się za serce, a potem za gardło, bo okazało się, że aż tam z emocji podeszło moje serce. To był moment, bo oto posłyszałem przekręcanie klucza w zamku. Tak, to było pod "dwójką". Chrobot ustąpił i drzwi się otworzyły. W skąpych promieniach księżyca widziałem Benka, ale jakby już Niebenka. Na twarzy zauważyłem tylko długie wąsy. Nogi i ręce były cienkie. Gdy wracał z łazienki zaskrzeczał cicho, ale to chyba kolano o kolano zawadziło.

Gdy zamknął za sobą drzwi, wyslizgnąłem się spod "piątki" i wróciłem na dół. Spojrzałem na kalendarz strażacki, który u mnie wisiał i obliczyłem, że jeszcze siedem dni i będę mógł odwiedzić Benka. Teraz owoce i pożywienie, które kładłem mu pod drzwiami, były tylko z lekka dziobnięte, a w przedostatnim dniu już w ogóle nic nie tknął.

- Jutro porozmawiamy - pomyślałem zabierając pełny talerz - żeby gardzić takimi świeżymi owocami, które nie przyskane były żadnymi chemicznymi środkami do ochrony roślin!

Wreszcie przyszedł ten dzień. Słońce jakby nieśmiało zaświeciło nad naszym smutnym miasteczkiem i nad pensjonatem. Zaraz z rana, tuż po śniadaniu, poszedłem do pokoju gościnnego, w którym mieszkał dziwny Benek.

Pokój był pusty.

- Benek wyjechał - pomyślałem - wyszedł cicho do nocnego pociągu. Ale żeby tak bez pożegnania...

Zacząłem się rozglądać. Pokój był starannie wysprzątany.

Porządne chłopisko z tego Benka, nie chciał po sobie zostawić nieporządku.

Lecz nie! "Dwójka" nie była pusta. Na stole leżała kartka, zegarek na rękę z zieloną tarczą i Biblia. Były też drobiazgi, no i "Mistrz i Małgorzata". Najpierw rzuciłem się do kartki. Była zapisana koślawym pismem: "Drogi Adamie, dziękuję za wszystko. Cieszę się, że mnie zrozumiałeś, choć z pewnością było ci trudno. Pamiętaj - tolerancja to ważna rzecz, no i dyskrecja. Dobrze, że o nic nie pytałeś, dobrze, że przez ostatni miesiąc zostawiłeś mnie w spokoju, choć jednak nie w pełni. Wiedziałem, że mnie podglądasz przez dziurkę od klucza z «piątki». Było mi nawet trochę smutno, ale już ci wybaczyłem."

I dalej czytałem: "Ofiaruję ci moją Biblię, zegarek i inne drobiazgi, które po mnie zostały. Daję ci też buteleczkę po moim lekarstwie. Jest pusta, ale prawda, że wyjątkowo ładna? Koniecznie przeczytaj "Mistrza i Małgorzatę", a gdy już tę książkę czytałeś, to przeczytaj ją jeszcze raz. Odkryjesz nowe sprawy. A teraz chyba najważniejsze. Spójrz w kąt pokoju nad lustrem. To jestem ja, letnik Benek."

Spojrzałem w górę. Nad lustrem u sufitu była duża, misternie zrobiona pajęczyna, a na jej brzegu stał duży pajak. Kiwał do mnie pajęczymi nogami i ruszał przyjaźnie wąsami.

Adam Ziemanin



Stanisław Rams, właściciel pensjonatu z Wapiennego, na wycieczce z letnikami — nauczycielami (1938 r.)